

"Kuryer Szafarski"

*Sobota*

*Dnia 13 sierpnia 1824 roku.*

*Wspomnienie.*

*R. 1824 (wciąż tej samej daty) Dzień, w którym nie miała miejsca żadna przykrość, ani też nic specjalnie interesującego, co można by było opisać.*

*Wiadomości Krajowe*

*(Tu, dokładnie w miejscu tej wiadomości wskazane jest wyobrażenie sobie, że zamiast niej znajduje się ujmujący, błyskotliwy i pełen żartobliwości list na temat mój i mojego dnia pędzonego w Szafarni, doskonałego i najniezwykłego. Stwierdzam jednak, że w rzeczywistości nie działo się dziś nic nadzwyczajnie ciekawego. Dzień dosyć leniwy. Redaktor "Kuryera" z resztą też, nie ma zupełnie nic do pisania. Najlepiej więc będzie, jeśli resztę dnia dopowiedzcie sobie sami, z największą starannością rozwijając tym swoją wyobraźnię.)*

*Wolno posłać.*

*Cenzor L. D.*

Z uśmiechem złożył świeżo zapisany kawałek papieru w rulonik i wcisnął go do kieszeni.  
- Jesteś gotowy? - Dominik dyskretnie uchylił drzwi sali, ruchem głowy wskazując mu wyjście. Zdawał się być już dość zniecierpliwiony. Fryderyk odwrócił spojrzenie ciemnych, wielkich oczu w jego stronę:

- Tak - jego uśmiech poszerzył się - już go napisałem. - Za każdym razem, gdy tylko kończył list, gdy tylko stawiał kropkę tuż przy ostatnim zdaniu, jego dłonie drżały z ekscytacji. Uwielbiał to robić. Uwielbiał wyobrażać sobie matkę i ojca, czytających jego listy i śmiejących się z nich głośno. Zupełnie jakby siedzieli tuż przy nim, gdzieś pomiędzy Paryżem a Szafarnią. Oczywiście, uwielbiał Dominika, czy też raczej Domusia. Uwielbiał Dziewanowskich oraz ich dworek. Ale pomimo wszystko... to wciąż nie był jego dom. Pomimo wszystko wciąż tęsknił. Ale im częściej pisał, choćby o drobnostce, tym bliżej domu się znajdował - chociażby w tak nieciekawym, gorącym dniu jak ten. Choć pomimo wszystko w duchu, naprawdę liczył, że w

swoim liście będzie mógł powiedzieć coś więcej. Ale uściski i ciepłe słowa na papierze i tak nie były w stanie równać się z czymkolwiek, co mógłby doznać rzeczywiście. Wiedział o tym.

Pomimo wszystko Fryderyk zdołał się uśmiechnąć. Wciąż były wakacje, które spędzał w towarzystwie najserdeczniejszego, szkolnego przyjaciela. Nieco pocieszony tą myślą zrównał kroku z Dominikiem, dokładnie zaciskając dłoń wokół świeżego, pachnącego atramentem papieru.

Szli brukowaną ścieżką, wiodącą tuż przez park do głównej, zdobionej bramy, prowadzącej poza teren dworku. Słońce padało na ich twarze, pokrywając je niewielkimi, piegowatymi pocałunkami. Upał wdierał się nawet pod najlżejsze, najbardziej przewiewne z ubrań. Powietrze było suche ani jeden podmuch wiatru nie musnął ich skóry. Tegoroczne lato - a przynajmniej ten tydzień - było bezlitosne. Żaden z chłopców nie miał zamiaru przebywać w tak okropnym skwarze choćby chwili dłużej - oboje liczyli więc, aby najbliższa skrzynka pocztowa, do której mogliby wrzucić list znalazła się już w zasięgu ich wzroku. Przechadzki w duchocie i w upale nie były bynajmniej choć odrobinę przyjemne.

Nagle Dominik zwolnił kroku. Dostrzegł w jego oczach ostrzegawczy błysk, jasny i figlarny. Chłopak uśmiechnął się tęsknie, z wciąż lśniącymi oczami. Złapał go za ramię. Jego wzrok wbity był w szczelnie osłonięty drzewami kształt ukryty za niskim, znajdującym się tuż pod ścieżką pagórkiem. Parę chwil zajęło mu zrozumienie, na co właściwie powinien zwrócić uwagę.

- Jezioro - stwierdził.

- Jezioro - Dominik pokiwał głową i bez dalszych wyjaśnień zboczył ze ścieżki.

- Chodźmy tam. Tylko na parę minut, chociaż zamoczyć nogi, potem możemy iść... - bredził dalej, zupełnie jakby próbował go do swojego pomysłu przekonać. Chłopak pokręcił głową, zamknął oczy i westchnął. Pozwolił sobie na uśmiech. Tak - "tylko parę minut" - doskonale wiedział, czym się to skończy. A raczej o ile minut za wiele. Ale sam nie miał ochoty powstrzymać przyjaciela, słońce i dla niego nie było łaskawe, sam marzył, aby zanurzyć się w orzeźwiającej wodzie. Nie pozostało mu nic innego, jedynie powędrowanie za Dominikiem.

Zbocze wygładziło się, zagajnik rozstał się, ukazując obraz jeziora. Jasne, odbijające promienie słońca, z chłodną, przejrzystą wodą. Zupełnie jakby ich do siebie przyzywało.

Oboje westchnęli z ulgą, kiedy ich stopy wyjęte ze skórzanych półbutów dotknęły tafli wody.

- A jednak miałeś dobry pomysł - Fryderyk uśmiechnął się - muskając taflę długimi kościstymi

palcami, rozchlapując przy tym nieco wody dookoła.

- Wiedziałem! - Domuś roześmiał się - Wiedziałem, że na pewno się zgodzisz, mamy jeszcze pełno czasu, żeby pójść... - jego głos zamarł, czoło pokryte letnią opalenizną zbladło, a wzrok utkwił w jednym, stałym punkcie. Tym razem się nie uśmiechnął. Tym razem coś w jego spojrzeniu sprawiło, że pomimo panującego wokół skwaru Fryderyk poczuł, jak jego plecy pokrywają się gęsią skórką.

- Co jest? - zapytał cicho, niepewny czy powinien się odezwać. Dominik, delikatnie unióśł drżącą rękę, którą wskazał tuż przed siebie. I wtedy Fryderyk również to dostrzegł. Coś, co sprawiło, że jego ciało nie było w stanie poruszyć się już choćby o centymetr. Od zawsze sądził, że dworek należał wyłącznie do rodziny Dziewanowskich. Dlatego właśnie założył też z góry, że żaden nieproszony gość nie powinien pojawić się na przeciwległym brzegu jeziora. Zwłaszcza, jeżeli gość ten okazywał się przepuszczać przez swoje ciało wszystko, co się wokół niego znajdowało - zupełnie, jakby wykonany był ze szkła.

- Nie - zdołał z siebie wydukać - nie...

Lekko zmętniała, jakby przezroczysta postać spojrzała na niego, na dźwięk jego głosu. Dopiero gdy jej twarz odwróciła się w jego stronę, uświadomił sobie, że nie wypuszczał powietrza z płuc już od bardzo długiego czasu. Ale nie był w stanie wziąć następnego oddechu. Trwał w bezruchu - dało mu to okazję, żeby dokładniej przyjrzeć się owej postaci. Był to chłopiec - niewiele starszy od nich samych - ubrany w koszulę starannie włożoną w sięgające powyżej kolan spodnie, do tego kamizelkę z białego, wytartego płótna zdobioną ciemnymi pasami i frędzlami. Na jego nogi wciśnięte były pończochy i wysokie buty z cholewami, kasztanowe włosy przykryte czarną czapczką opadały na jego doskonale widoczną, pomimo dzielącej ich odległości, spokojną, poważną twarz, dającą poczucie jednoczesnego bezpieczeństwa, jak i niepokoju. Przez głowę Fryderyka przemknęło, że zna skądś jego ubiór - poruszył coś w jego pamięci, jednak nie był pewien co. Dopiero po chwili zdołał sobie to uświadomić.

- "To strój żydowski".

Nieznajomy przyłożył otwartą dłoń do swoich ust, na której znajdował się przedmiot, zbyt mały, aby mógł precyzyjnie go określić. Ale wtedy do jego uszy dotarła muzyka. Zupełnie inna od jakiegokolwiek, którą kiedykolwiek słyszał. Żaden, ze znanych mu instrumentów nie mógł wydać takich dźwięków, był tego pewien. Żaden ze znanych mu dźwięków nie brzmiał chociażby w przybliżeniu podobnie do tego. Tak czysto, szczerze, nieśmiało. Niepokój zaczął go opuszczać,

twarz chłopca po drugiej stronie brzegu wciąż opanowana i jakby dorosła patrzyła prosto na niego, z niespodziewaną mieszanką troski, spokoju i sympatii. Wiedział, że temu spojrzeniu może zaufać.

Wszystko zdarzyło się tak niespodziewanie, że nie był w stanie określić, co dokładnie czuł ani jak z powrotem znaleźli się w domu. Pamiętał tylko jak, bosy biegnąc z Domusiem w deszczu, oddalili się od jeziora - nie był tego pewien, jednak sylwetka chłopca musiała zniknąć, kiedy na ziemię spadły pierwsze krople deszczu. Ale mógł przysiąc, iż chłopiec ten był prawdziwy. Na pewno taki był, skoro i Dominik go widział. Ale jedno, jedyne pytanie wciąż nie mogło go opuścić - Kim właściwie był?

Aksamitne dźwięki pianina niosły się po całym dworze, jego oczy były zamknięte, a palce jak w transie przechodziły z klawisza na klawisz. Nie mógł oddychać. Nie mógł myśleć o niczym innym. Nie był w stanie zrobić przerwy. Pamiętał jego melodię i choć niedokładnie, i jakby przez mgłę, wciąż miał ją w głowie. Gra na pianinie od zawsze pozwalała mu porządkować myśli - każdy dźwięk, każda rzecz, którą tylko zobaczył, przechodziła gdzieś z samego umysłu, aż po koniuszki palców - stawała się czymś nowym, a jednocześnie tak dobrze znanym. Myśli niosły go dalej, wygrywając melodię chłopca, dogrywając do niej swoje własne pytania i nurtujące myśli. Słyszał, jakby przez mgłę, jak Dominik wchodzi do pokoju, mówiąc coś stłumionym, dalekim głosem. Zdołał wychwycić jedynie słowa "był prawdziwy". Pozwalał, aby melodia grała się na nowo sama. Aby obraz kasztanowowłosego chłopca, tajemniczego chłopca w żydowskim stroju, ukazywał się w jego głowie coraz dokładniej, coraz bliżej z każdym nowym dźwiękiem. W końcu, gdy zobaczył go zupełnie jakby na wyciągnięcie ręki, chłopiec ten stał się melodią.

- Żydek - wyszeptał - Melodia Żydka.